

# MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

## Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9 róg Rynku głównego

polesca bogaty wybór sukienek damskich i kostyumów bluzek  
== strajnych i angielskich, ton strusich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

GASTON LUXERO.

## BALAOO

23)

Jakiś fatalizm ciążył nad nim, psując mu karierę i stawiając przeszkody dziwaczne, tragiczne, niemożliwe do przełamania. Po niefortunnym obaleniu Czarnych Lasów podczas swej prefektury w Puy-de-Dôme miał teraz na swej głowie katastrofę paryską. Gdyby nieszczęsny prefekt wiedział, że winowajcą obu tych spraw był Coriolis, nie odmówiłby sobie przyjemności uduszenia go swymi własnymi rękami.

Tymczasem jednak trzeba było radzić. Prezydent ministrów oznajmił mu, że, jeżeli w przeciągu dwudziestu czterech godzin nie ukończy sprawy, otrzyma dymisyję. Wobec tego zjawił się na „placu bitwy” z pięciu policyantami, którzy prowadzili Coriolisa i z jakimś olbrzymim mężczyzną, uzbrojonym w karabin. Ten ostatni zwrócił uwagę tłumu. Przerastał najwyższych o głowę. Wkrótce imię jego, powtarzane głośno, poczęło obiegać tłumy. Był to Barthuiset, sławny myśliwy na lwy.

W Paryżu krążyły legendy o jego polowaniach, byli jednak złośliwi, którzy twierdzili, że Barthuiset nigdy nic nie zabił. To było przyczyną, że prefekt dotąd nie wezwał jego pomocy w okolicznościach, kiedy celny wystrzał mógł uratować sytuację.

Zdziwiony i nieco dotknięty tem zapoznaniem swych zalet, Barthuiset nie byłby nigdy ofiarował swych usług policyi, gdyby nie to, że zlitował się nad mieszkającymi Paryża. Ubrał się więc w myśliwski kostyum, opatrzył karabin i wzięwszy ładownicę z eksplodującymi kulami, zgłosił się do prefekta w chwili, gdy ten, zrozpaczony, wychodził od prezydenta ministrów.

Prefekt wysłuchał Barthuiseta, przyjrzaawszy mu się uważnie i rzekł, uderzając go po ramieniu:

— Mój drogi panie Barthuiset, jeżeli pan nie zabije małpoluda, jestem zgubiony!

Na co ten odpowiedział, mrużąc swe małe oczy:

— Niech mi pan pokaże tego małpoluda, oto wszystko, co mogę powiedzieć. A później będzie pan mógł sporządzić testament.

Prefektowi nie trafiło to jakoś do przekonania.

— Czy pan nie jest pewny swego strzału? — zapytał.

— Gdyby chodziło o lwa, nie darowałbym panu nigdy tego zapytania, panie prefekcie. Ale małpoluda nigdy jeszcze nie zabiłem. Muszę więc spróbować.

Prefekt zabrał go ze sobą, ale nie zapomniał i o Coriolisie. Wszyscy trzej wśród głębokiego milczenia tłumu weszli odważnie na skwer świętego Jakóba, narażając się na śmierć lub kalectwo. Od rana Balao nie dawał znaku życia, ale nie ufano mu i nikt nie śmiał zbliżyć się do jego kryjówki.

Kiedy jakie dziesięć metrów dzieliło ich od wieży, prefekt zwrócił się do Coriolisa:

— Niech go pan zawoła.

— Po co? — zapytał Coriolis z niepokojem.

— Rozmówimy się z nim. Niech pan zrozumie, że zabijemy go tylko w ostateczności — odparł prefekt. — Zresztą pan przecież twierdzi, że można się z nim rozmówić, więc niech go pan zawoła, porozmawia, ostatecznie niech pan nam da dowód, że to nie jest zwierzę!

Coriolis zgodził się. Przez cały czas myślał tylko o tem, w jaki sposób uratować swego wychowanka. Biegając za nim po dachach, zachęcał go do ucieczki. Teraz, gdy zapewniono go, że nie grozi mu śmierć, zawołał doń inaczej, w języku małp:

— Tonroo! Tonroo! (wszystko dobrze). Goot! (wyjdź). Woop! (Proszę cię!)

Natychmiast ujrano pomiędzy deskami ruszto-

wania monstrum, wychylające ostrożnie głowę i przyglądające się z niedowierzaniem olbrzymiemu tłumowi. Panująca cisza zdawała się niepokoić go. Wychylił się całym ciałem w stronę, skąd padły słowa wymówione w jego języku.

W tej chwili zagrział wystrzał. To Barthuiset posłał ze swego karabinu eksplodującą kulę.

Tłum krzyknął przeciągle.

Małpolud zachwiał się i runął na bruk.

Coriolis, słysząc wystrzał, poczuł, że serce mu się rozdziera, przez chwilę zdawało mu się, że on sam umiera. Widział spadające olbrzymie ciało i skoczył, jakby pragnąc uchwycić je w ramiona. Na szczęście spadło obok, nie dotykając go. Schylił się pośpiesznie nad umierającym... i nagle wyprostował się z okrzykiem dzikiego tryumfu... To nie był Balao!

### ROZDZIAŁ VI.

Porwane dziewczęta odnajdują się.

Wielka mapla, ubrana jak człowiek, nie była Balao! W kilka godzin później dowiedziano się, że był to Gabryel, wielki szympan z ogrodu zoologicznego.

Co się więc stało z Balao?

Dyrekcja policyi była zanadto uszczęśliwiona, że pozbyła się jednego potwora, żeby szukać drugiego. Zeznanie Coriolisa uważano teraz jako wybryk chorego umysłu, traktowano go jako maniaka i poproszono go, by zamknął się ze swą manią w swym domu i pozostał tam aż do wezwania. Też dnia jeszcze odnaleziono wszystkie porwane dziewczęta, podczas, gdy rodziny ich oddawały się najwyższej rozpacz, uważając je za stracone.

Osaczony przez ludzi szympan zaciągnął swe ofiary na dach Luwru i pozbył się ich, wrzucając na strych, gdzie je zamknął. Nie zrobił im zresztą nic złego i rozchorowały się jedynie z przestachu.

W opisach podróżników po lasach podwzrotnikowych, można dość często napotkać opisy podobnych porwań młodych kobiet przez małpy, które czynią to w części dla zabawy, a w części dla zaspokojenia dziwnej jakiejś manii złodzieistwa. Coriolis, wracając do swego domu przy ulicy Jussieu, przeczytał po drodze w jakimś dzienniku o odnalezieniu porwanych dziewcząt. Nie zdziwił się wcale, nie znajdując pomiędzy nazwiskami ofiar dziwnej fantazyi Gabryela, imienia swej Magdaleny. Biedak wiedział doskonale, że Magdalena nie była porwana przez Gabryela. Wracając więc zrozpaczony i przygnębiony, z myślą o śmierci.

Otwierając drzwi, zauważył na progu depeszę. Depesza nadana była w Saint-Martin des Bois i brzmiała:

„Czekam przy wielkim buku w Pierrefeu. Balao”.

### ROZDZIAŁ VII.

Biedny Balao!

Od kilku godzin Coriolis w podartem ubraniu, z podrapaną do krwi twarzą przedzierał się przez gęstwinę leśną, szukając napróżno polanki Pierrefeu, gdzie rósł wielki buk, tak dobrze mu znany w młodości. Poszedł do lasu sam jeden, nie chcąc nikogo wtajemniczać w straszne przygody swej rodziny i nie wiedząc, co go może jeszcze spotkać na tej dziwnej schadzce, którą dał mu Balao. Zabłądził więc w lesie. Zresztą, kto mógł mu towarzyszyć? Patryk leżał chory u rodziców w Clermont i nie chciał go widzieć na oczy, oskarżając go o wszystkie zbrodnie popełnione przez Balao. Mała Zoe, którą, opanowany swą manią, chciał przygotować na żonę dla swego wychowanka, zraniona śmiertelnie miłością Balao do Magdaleny, uciekła wraz z Gertrudą z domu i nie chciały go znać. A jego

córka? Co się z nią stało? Czy możliwe, że Balao wolał ją zabić, niż widzieć w objęciach innego? Czy po to go wezwał, żeby mu pokazać trupa! Błądząc po lesie, miotany rozpaczą, Coriolis wołał, krzyczał, wzywał, wymawiając dwa drogie mu imiona: Magdaleno! Balao! Ale tylko echo mu odpowiadało.

Kilkakrotnie zdawało mu się, że odnajduje ścieżkę, prowadzącą do polanki Pierrefeu i znowu błądził i krążył po lesie, błądząc jednocześnie myślą dokoła przejętą niedawnych, przypuszczeń, rozpacz i nadziei. Przypominał sobie przywiązanie Balao do Magdaleny, jego posłuszeństwo i wierność. Mógł w pierwszej chwili wpaść we wściekłość, ale potem musiał posłuchać jej głosu, który działał nań zaw sze, jak dźwięk fletu na oswojone węże...

Ale w takim razie, Magdalena byłaby wolną i sama wróciłaby do domu ojca lub męża.

Coriolis padł na kolana i wzrósł ramiona ku niebu, po raz pierwszy w życiu żałował swego dzieła. Podniósłszy oczy w górę, dojrzał nagle nad lasem olbrzymią gromadę kruków, kraczących przeraźliwie. Ptaki wznosiły się, to opadały, wreszcie spadły z nieopisanym wrzaskiem, jakby rzucając się na zdobycz.

Coriolis zdrewniał.

W tej chwili uirzał zaczepiony na krzaku strzęp białego welonu. Drząc zbliżył się i poznał welon ślubny Magdaleny. Łkając, podniósł go do ust. O kilka kroków dalej znalazł kawałek białej materii z jej sukni... dalej pantofelek, biały pantofelek Magdaleny; poczęł go całować gwałtownie... I krzyczał z całej siły:

— Magdaleno! Magdaleno! Magdaleno!

Ale tylko krakania odpowiadały mu... poczęł iść w stronę, skąd dolatywały go wrzaski ptactwa. Po chwili wyszedł na polanę Moabit. Poznał ją od razu. Uirzał tysiące kruków, które nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, rozszarpały trzy trupy ludzkie, rozciągnięte na trawie z rozkrzyżowanymi rękami. I chociaż twarze były zeszpecone i objedzone, Coriolis poznał trzech braci Vautrins, którzy od wielu lat byli postrachem okolicy. Strzelby ich leżały obok — Hubert trzymał swoją w zaciśniętej ręce. Dookoła nich trawa, paprocie, krzaki były pomięte, połamane, wbite w ziemię. Znać było ślady potwornej, straszliwej walki, której ofiarą padli trzej bandvci.

Kto mógł być tak potężnym, żeby zwyciężyć trzech braci uzbrojonych w strzelby? Jaką bronią zabito ich? Tuż obok bielił się na trawie pień młodej brzoźki, wydartej z korzeniem z ziemi. Tą bronią zwyciężono strasznych Vautrinów.

Podczas gdy Coriolis przyglądał się polu straszliwej walki, zapadł zmrok i wkrótce ciemna noc pochłonięła polanę.

Coriolis usunął się na trawę i zasnął.

Rano, otworzywszy oczy — sądził przez chwilę, że śni jeszcze: uirzał pochyloną nad sobą smutną i poważną twarz Balao.

Chciał krzyknąć, ale Balao położył palec na ustach, nakazując milczenie.

— Cicho — rzekł — cicho! Możesz ją zbudzić!

— Czy żyje?... Czy umarła?

— Cicho! — Spi!

— Czy żyje? Czy żyje?

— Spi i nie trzeba jej budzić...

I trzymając wciąż palec na ustach, Balao prowadził go długo przez las. Szli w głębokiej ciszy. Ptaki milkły na ich widok, lście zdawały się nie poruszać, jak gdyby cała natura słuchała rozkazu Balao, który żądał ciszy dla tej, do której szli.

Czy żyje? Czy umarła?

(Dokończenie nastąpi).